



Stanisław Łoniewski

część I z II

Sygnatura notacji: **N1319**

Data urodzenia: **14.04.1929 r.**

Data nagrania: **28.12.2018 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Strachowo, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Dorota Grzechocińska**

Czas nagrania: **część I: 37 min, część II: 48 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Łoniewski: Nazywam się Stanisław Łoniewski, syn Ignacego i Józefy, urodzony w Strachowie, parafia Płońsk. Dzieciństwo moje było dosyć ciekawe, do czasów wojny. W czasie wojny zostaliśmy wysiedleni. Niemieckich żołnierzy to zauważyłem jak pierwsza patrol, jak zajechali na motorach do Strachowa i skrzyżowanie jak jest, tak zaraz obok usiedli na rowie, posilali się, a ja w tym czasie pędziłem krowy, bo to było tak przed wieczorem, do podwórka, a oni siedzieli, nic nie zaczepiali mnie, bo sobie siedzieli, tak jakby odpoczywali. Motor taki z koszem był, bo ich było trzech. No i ja przepędziłem te krowy, oni coś tam szwargotali po niemiecku, ale ja tego w ogóle tam nawet nie wiem, mowy o tym, żeby coś zrozumiał. No i przepędziłem te krowy do obory, tam się powiązali, rodzice mi tam pomogli, ojciec. No i mówię, że tu siedzieli Niemcy na tym, no ale za niedługo słysząc warkot i odjechali. No odjechali, to odjechali, to już tam była cisza. No potem tam za jakiś czas, za ileś czasu więcej samochodów przyjechało z tymi Niemcami. No i oni tam się jakoś rozlokowali, tak że bodajże nocowali, nie pamiętam tego. No a my wtedy już czuliśmy, że coś tu będzie źle. No tak że nie wiem, na który to tam dzień było, że przychodzi sołtys, znaczy z tym Niemcem po polsku mówi, ten Niemiec tak samo. I ten sołtys był, od dawna już tu mieszkał, ten folksdojcz, tak nazywali ich. I mówi, panie Łoniewski, to będzie nowy gospodarz, pan od dzisiaj już nie jest gospodarzem. Ale co do warunków dalszych, to sobie się tam porozumieć, dogadać się. No dobrze, nie było wyjścia. No i on tam chwilę posiedział, zabrał się i poszedł. I ten Niemiec też, ale za chwilę ten Niemiec się wrócił, no i dopiero zaczęli tam uzgadniać. No to powiedział, jak chcecie pracować dalej, to możecie zostać, bo dom był duży, trzy pokoje, znaczy trzy mieszkania on zajął, a w trzech mieszkaliśmy. No to myśmy się zgodzili, bo tak na razie nie wiedzieliśmy, jak lepiej będzie. Ale w każdym razie jesteśmy u siebie, jak to się mówi, choć to już jest nie nasze. Pierwszy rok mieszkaliśmy razem z Niemcami, z tymi, którzy nasze gospodarstwo przejęli. A po roku czasu kazali się wyprowadzić. Ale nas trzech, mnie

i dwóch braci starszych zostawili, jeżeli chcemy. Nie powiedzieli, że to jest przymus, że możemy tam zostać i u nich pracować. No i zgodziliśmy się, bo wiadomo, najlepiej to jak ktoś jeszcze się w swoich ścianach obją, chociaż to już wtedy się nie nazywało nasze, ale tak było. A rodzice mieszkali u sąsiadów, u państwa Przqdków. Dali im tam jedno mieszkanie, ciasno tam było, no ale więcej im tam... wystarczało, tak że... No i przeszło rok czasu, to już tak dopiero w lutym, w 1941 roku, dobrze mówię, dobrze, w 1941 roku pewnej nocy obudzili nas, bośmy spali już tam. Wchodzi ta właścicielka tego gospodarstwa z żandarmem i budzą nas. I ten żandarm mówi po polsku oczywiście: „Ubięrajta się i pójdzietą ze mną do matki”. No tośmy takie rozespani, ale mimo wszystko w tym cośy chodzili na co dzień, ubrali się i poszliśmy, wchodzimy tam do tych państwa Przqdków, a tam już tobofki powiązane, rodzina już w komplecie, wszystko na równe nogi, już czekają tylko na nas. No i kiedyśmy tam dotarli, no to razem: „Wychodzić, wychodzić”. Wychodzimy z tymi tobofami, bo tam pobrali pierzynę i takie tam, no co mogli, bo kazali, ile można, to brać, to brali, bo się może przydać. No i na skrzyżowaniu jest taki tam plac, teraz to remiza tam stoi, samochód stał, dwa samochody, dochodzimy tam, a tam rodzina Czajkowskich siedzi już na tym samochodzie, druga Czyżewskich, prowadzi już tam żandarm, też cała rodzina ile ich tam było, Olkowscy, tak że Czajkowsy, Olkowscy, Czyżewscy, to były te cztery rodziny i dwa samochody były. Weszliśmy na te samochody, no i przywieźli nas do Pomiechówka. Jak zajechaliśmy do tego Pomiechówka, no oczywiście bramę zaraz tam żandarm już otworzył, bo tam stał wartownik, otworzył, wprowadzili nas właśnie, bo tam były po jednej stronie bodajże osiem tych cel, po drugiej stronie to tam właśnie byli Żydzi, cel też osiem, z tym, że tam jedna rodzina czy dwie nawet, może tak około dziesięciu osób. W pierwszej celi tej, co myśmy zajęli, mieszkali, tam znaczy na samym szczycie tam się ulokowali, no a myśmy zajmowali te... Polacy po tej stronie. No tak że byliśmy tam kilka dni, no oczywiście rano, tam było jakieś śniadanie, tak zwana kawa, tam chleba dali, no te śniadanie żeśmy zjedli. No Żydzi to byli nie bardzo traktowani, nie po ludzku, bili ich przy każdej jednej okazji. Jak ich przepędzali, to... bo dzień wcześniej wywieźli Żydów. Jak ich wypędzali, to ustali, taki szpaler urządzili dwóch czy trzech z jednych Niemców z drugiej strony, a oni musieli do wyjścia przechodzić. No to ile, który zdążył, to tych pałek dostał od tych Niemców. Poobijali ich tak, a tam jak już na samochód im pomagali wsiąść, to też tylko tymi pałkami, tak jak powiedziałem, pomagali, bo tam ręki do nich nie dotykały, tylko bili. No i wywieźli ich do Działdowa.

Dorota Grzechocińska: Pan to widział, jak bili tych Żydów?

Stanisław Łoniewski: No krzyk, płacz, bo i dzieci były, i kobiety, niesamowicie, niemiłosiernie. A ja tylko pamiętam, jak potem już tych Żydów wypędzili i mówię: „Mamo, czy nas tak będą?” . „Nie bój się synu...”, nie mogę mówić, mówi: „Może Bozia nas uchroni”. No i doszło do tego, że na drugi dzień przychodzą, żeby się wyprowadzać, żeby zabierać swoje rzeczy i wychodzić, ale bić nie bili, co prawda, że obchodzili się dobrze, no bez bicia. Zawieźli nas tam do Działdowa, to już był wieczór. No tam rozlokowaliśmy się, tylko że tam to nie było... to były podłogi drewniane, bo tam była podoficerska szkoła. Jakie warunki były w tych pomieszczeniach, w których mieszkaliście w Pomiechówku? No było słomy trochę na tym betonie położone tam w grubości może 15 centymetrów, może... no, nie więcej, jak to się mówi, plus-minus. Pod bokiem tylko ścieżki były przetarte, żeby po tym chodzić, żeby nie po słomie, a na tym się kładliśmy i spaliliśmy. Siedzieli jak tam ktoś w dzień. No i to tak na tym, a jedzenie to przynosili tam. Brat nawet mówił, no starszych mężczyzn brali, żeby kołty z kuchni przynosić i tam rozdawali nam, co, kto miał jakiś tam, czy jakiś garnuszek, czy saganek, czy miskę, ale to swoje każdy miał. No i ten posiłek tak się odbywał. – Było ciasno? – Ciasno było bardzo. Tak było ciasno, że tak naprawdę to, jak jeden, jak się ułożyliśmy do snu, chciał się przewrócić,

to miał trudności nawet, bo tak jakoś sobie tam dawali radę, ale ciasno było bardzo. A ta śłoma, na której spaliście, była świeża? Świeżo była posłana, z tym, że od betonu to już troszkę tam zaczęła taka być, robić się wilgotna, ale po kilku dniach to normalnie już mokra była i na tym się spało. W ubraniach. Jak ktoś tam coś zdykt, no to się tym przykrył najwyżej, ale nic więcej nie, bo tak nawet tam u nas to matula wzięła jakoś tam, jakiś tam koc, czy tam coś było zawinięte, bo jak powiedziałem, tę pierzynę to zrzucił tam z samochodu, bo za dużo zajmowała miejsca i tak dalej. No i wtedy dopiero, jak do tego Działdowa już nas tam przewieźli. Czy w Pomiechówku można było się poruszać? Czy były cele otwarte czy zamknięte? Można było, można było wychodzić na zewnątrz, a ubikacje to były tak kawałek w górze tam, aż tam trzeba było chodzić, ale tak to było miejsce, bo poza mur to nie, bo wartownik chodził i przy bramie był, i po tym murze chodził wartownik, nie można było tam. Nie było ogrzewania. Ponieważ to już był marzec czy kwiecień, już nie pamiętam, to marzec chyba był. Ten pierwszy okres to był luty. Ten pierwszy okres był luty, bo to było gdzieś tak na pół lutego jakoś tak nas tam wywieźli. No to zimno było, to się spało w ubraniach i tam jakoś, jak to się mówi, przytulaliśmy się do siebie, żeby... to zawsze jest cieplej, no i wiadomo. No a potem jak już cieplej było, no to się... No i jak wywieźli nas do Działdowa, no to tam znów były, to był budynek, nie wiem, jedno piętro to na pewno, czy nie dwa, to już nie pamiętam tego, no ale tam to podłogi były drewniane, tak że było już tam cieplej w ogóle, lepiej było. No i jedzenie tak samo, kotły, to tam nawet, jak mówiłem, brat tutaj brał udział w tym i jeszcze tam dwóch czy trzech brał do siebie i przynosili tę zupę, tam rozdawali, dzielili chlebem, bochenek chleba, takie okrągłe były 2-kilogramowe, to na osiem, na dzień na ośmiu ludzi. No ale tak do zupy, do tego, to tam się jakoś starczało. Tak że głodu się tam specjalnie nie odczuwało. I mama zapobiegawczo... A mama, tak, miała ze sobą właśnie, wzięła tak na wszelki wypadek, jak to się mówi, i kaszy, i mąki trochę miała też, to sobie tam kucharze w nocy pozwalali, bo przeważnie to gotowali w nocy, żeby rano już na śniadanie było gotowe. To chodziła tam, pozwalali sobie tam ugotować, no to jak przyniosła, to myśmy sobie tam w międzyczasie, czy jak, to pojedli tego swojego tam. I chleb zbierała? No i chleb, jak ktoś nie zjadł, bo starsze tam ludzie niektórzy nie zjadali, no to była na tyle, żeby nie wyrzucać chleba, bo nam się przyda, no i przydawało się, bo my wiadomo, w młodym wieku to apetyty były, tak że przydawało się tego chleba, co ususzyla, to potem te sucharki tośmy wzięli nawet jeszcze i do Pomiechówka, bo tam nie zdążyliśmy ich zjeść. Czy w Działdowie spotykaliście innych więźniów? Czy widać było? Nie, specjalnie tu nie, ja tam nie wiem, bo tam... no była tam jedna kobieta, tu w naszej tej celi spała w tym, w Działdowie, tam gdzieś z Przasnysza, czy z Przasnysza, starsza taka pani, ja nie wiem, dlaczego ona tam się znalazła. Może tam rodzice rozmawiali z nią na ten temat, dlaczego ona akurat tu sama, bo była sama, ale tam inni, w drugich celach było więcej ludzi, nie tylko nasi. Widzieliście państwo biskupa, uwięzionego wtedy w Działdowie? W Działdowie to było tak, że z jedzeniem to było lepiej, bo w Pomiechówku, jeszcze się wróć, to przypalona była ta zupa, bo tam mówili, że kocioł był dziurawy, czy coś, i tam jakąś łatę przykręcili tam na śrubę, no ale mimo tego już się tam przy tym zatrzymywało to, że się przypalało, słychać było, czuć nawet jak się jadło, no ale nie było wyjścia, jadło się i przypalone. A w Działdowie lepiej było, i do syta, i te zupy były gęściejsze, a tu w Pomiechówku to tak różnie trafiało nieraz, może to wina była tego, co tam nie zamieształ dobrze, czy jak w tym kociołku tylko, no ale to już tam mniej ważne było. Wspominał pan, że spotkaliście biskupa, którego prowadzono? Tak. Prowadzono to w Działdowie już, na ten spacer, bo codziennie ich wyprowadzono, tak w kółku chodzili. Może dwudziestu, może więcej tych osób było, no i między innymi tego biskupa właśnie we dwóch prowadzało, ponieważ już nie miał siły, bo te panie, które były w tym naszym bloku, w którym myśmy tam mieszkali, z Płocka, to znały osobiście go, bo to była tam jakaś, no takie panie, które mężów gdzieś indziej, byli w tym, jak to... w Dachau, czy gdzieś tam, a one były same te, to go pozna-

wały, ale później pewnego dnia mówiły, już biskupa, mówi, już nie prowadzą. Bo tak codziennie to taki ranny spacer był dookoła, tak w kółku chodzili. No a mówi: „Już biskupa nie prowadzą, to pewnie już się wykończył”, ale czy jeszcze żył, czy tylko już nie miał siły w ogóle chodzić do tego, to nie wiemy w tym czasie, jak tam było. Z Działdowa wywożono do Prus Wschodnich. Wszystkich młodych mężczyzn, którzy się, jak to mówią... no jak mówiłem, już 16 lat, brat miał i sąsiad ten Czyżewski, też wyglądali już na... jak to mówią szpadel już dadzą radę... szpadlem operować, to ich też wzięli. No i tak mniej więcej tam do 45 lat, bo starszych to już nie, tylko tak mniej więcej. Wszystkich zebrali, to z Działdowa, to wybrali około 50. To mój najstarszy brat się właśnie tam, jeszcze Olkowski, sąsiad, no i jeszcze Rutkowski, dwóch ze Strubin, to tak znajomi, to 50-ciu ich wybrali i wzięli na roboty do Królewca, tam w Królewcu pracowali. A potem jak wróciliśmy już do tego, z powrotem do tego Pomiechówka, no to już tak po dwóch tygodniach bodajże, wszystkich brali, tak jak to się mówi, dokładnie, tak jak mówiłem, bo 16 lat miał brat i ich wywieźli na Rosję znów, tam pod Moskwę gdzieś tam, nazwy mówili nawet, jak tam, przerzucali, raz byli tam ileś tygodni, to bo takie roboty mieli. W zimie odśnieżali drogi, w lecie kopali rowy, obsypywali tam, znaczy równali te drogi, bo błotniste były tam doły, tak że samochody grzęzły, więc oni przy tych byli zatrudnieni. Tam była taka grupa, 64. w tej grupie, mieszkali w barakach i do tej pracy chodzili. I po tym krótkim okresie, po pobycie w Działdowie z powrotem trafiliście do Pomiechówka. – Do Pomiechówka. – I to była wiosna 1945? No to jeszcze była wiosna, bo to jak nas wypuścili, to bodajże był któryś chyba kwiecień. A długo byliście w Działdowie, może w ten sposób? W Działdowie to byliśmy tak około miesiąca, chyba nie dłużej, na pewno nie. I z powrotem do Pomiechówka, tam byliśmy tak jak mówię do 20 czy 14 kwietnia, już nie pamiętam dokładnie daty, tylko że gdzieś koło połowy kwietnia. I dopiero właśnie otwierają bramy, mówią: „Idźta gdzie chceta, byle nie na swoje”. To była dla nas radość wielka, że już wreszcie będziemy wolni. A ten drugi czas pobytu w Pomiechówku, co tam się wtedy działo? Czy było lepiej, czy gorzej, trudniej? Nie było żadnych tam zmian. Nic, tylko na tym jak bym powiedział podwórku, jak tam był jakiś tam paperek leżał, bo różnie może coś, to jak tam ten żandarm zobaczył, to kazał, żeby to zebrać, żeby tych śmieci takich nie było. Chociaż tam nie było czym śmiecić, ale takie drobiazgi nawet nieraz. A tak do żadnej roboty nie... Na kuchnię tylko o to przepraszam, ale na kuchnię to brali. To nawet i moja mama tam się czasami udała jej tam, żeby pomóc tam, no to wracając, to coś tam przyniosła jeszcze więcej tam. Tak żeby pomóc na kuchnię, tak. A coś z tego czasu utkwiło w pamięci? Ucieczka tych dwóch kobiet. No to ucieczka to właśnie to i właśnie chciałem też o tym nadmienić, że pewnego dnia, no ale to już nie powiem dokładnie, tylko że już tam po dłuższym okresie postanowiły uciec. A jeszcze się wróć do tego. Był z nami, był z Drożdżyna dziedzic, parę dni. Razem w tej naszej celi, co myśmy z ojcem się znali, bo nawet sąsiadowały pola, no jeszcze tam jak on sprzedawał trochę tej ziemi przed wojną, to ojciec tam dokupił łąki kawałek. No ale potem ja patrzę, któregoś dnia tego pana nie widać. A tak to nieraz tam rozmawiali z ojcem, a to wyszedł, a to to. A matula mówi, że tego pana, mówi, bo Chamski się nazywał, pana Chamskiego, mówi, już nie będzie, bo... wiedziała o tym, że on już mówi się... jakoś mu udało się wydostać, uciekł po prostu. Ale my uważamy, że on nie uciekł, tylko się pewnie okupił. Bo niełatwo było uciec stamtąd. Ale jak widocznie tam żandarmowi dał jakiś może, czy złota, czy dolarów, nie wiadomo, tylko tak przypuszczamy, bo za darmo go nie wypuścić. I tak, że tego pana już nie było. A potem po wojnie się spotkaliśmy. No, mówi, przeżyłem i udało mu się ten dziedzic, bo tam u nas nawet jeszcze wcześniej przywiózł trochę tamtych, zakopali w stodole, ja nawet o tym nie wiedziałem, to dopiero się potem wydało, że on tutaj po te rzeczy, jego córka przyjechała, bo wiedziała o tym i w stodole u nas było zakopane głęboko, ta paka z tymi... sztucce, talerze tam jakieś odkryli, to Boże, jakie to bogactwo było. I to odebrała, bo ona już w Oświęcimiu, do Oświęcimia się wyprowadziła, bo tutaj już nie wrócili, bo już to było rozparcelowane, już ko-

muna to ogarnęła wszystko. Ta ucieczka jeszcze dwóch, dwóch tych ludzi. A ta ucieczka to właśnie nie powiodła się, bo kiedy właśnie ten żandarm, jak chodził po tym murze, widocznie w tym czasie nie zdążyły jeszcze, zeskoczyły, ale nie zdążyły jeszcze ucieknąć dalej i jedną zastrzelił właśnie, tę Bocianównę, a ta druga została złapana, bo zaraz Niemiec, ten, który tam był na zewnątrz za tą bramą, tam poleciał za nią i przyprowadził ją. No to jej tam pyty spuścili, jak to mówią, trochę, no i została w dalszym ciągu do końca już. A tam to matka tylko rozpacziała, pamiętam i słyszałem ten jej płacz, ale gdzie ją tam pochowali, gdzie ją, to ja nie wiem. Na razie to gdzieś zakopali, ale czy potem ją tam gdzieś, to już tego to nie wiem, czy ją gdzieś tam przebrali. No matka okropnie, to ją tam... nawet był Żyd, jeszcze wtedy, jeszcze ich nie wywieźli, taki felczer się to tak mówiło, to taki pół-lekarz, ją tam pomagał, dawał jakieś tam coś do picia, jakieś tam na uspokojenie, widocznie żeby się trochę uspokoiła. No i widocznie trochę pomogło, bo z czasem tak trochę się uspokoiła już, a tak to lamentowała okropnie. No nie ma się co dziwić, 20-letnia dziewczyna, żeby zginęła. A jak to się mówi, mały włos brakowało, ciut, ciut i by były uciekły. Akurat w tym czasie musiał się obejrzeć akurat na tym murze ten Niemiec. Jeszcze była jakaś ucieczka? Nie, już potem nie. A przepraszam, była, we czterech młodych chłopów, ich też złapali, no to im to lanie spuścili od razu. A to przez takiego, bo on był taki niesprawny, tak nogi tylko posuwał, bo oni sami takie zwinne chłopaki to by byli... no ale on się tak uczepił do nich, żeby... ze łzami w oczach. „I weźta mnie ze sobą, i weźta mnie”. I po prostu zlitowali się, i na tym właśnie źle wyszli. No ale im to tylko lanie spuścili i więcej tam żadnej kary nie było. Potem jak brali wszystkich już tam na tę Rosję, wysyłali do roboty, no to ich tak samo. No i przeżyli oczywiście wszystko. I ten pobyt w Działdowie, i ten pobyt w Pomiechówku zakończył się tym po prostu wypuszczeniem? Tak, tak. Otworzyli tę bramę i mówili: „Idźta gdzie chceta, byle nie na swoje”. To to było gdzieś tak już pół kwietnia może, dokładnie daty nie pamiętam. I dalej, dokąd się państwo udali? No to tam rodzina państwa Czyżewskich niedaleko, była taka miejscowość, Śniadowo, tośmy tam do nich dotarli, bo oni tam już znali te miejsce, drogi i tak dalej. No i tam nas przyjęli oczywiście chlebem i mlekiem najpierw. No i przenocowaliśmy tam, słomy się przyniosły na podłozie. No i tam chcieli nam dać tam coś do przykrycia, ale tam wiem, że i moja mama brała w tym udział i też żeby nic nie dawała, bo my jesteśmy zarobaczeni, tak że nie chcemy wam tutaj robić kłopotów. Przykryjemy się tym, w domu jest ciepło i przecież to już była wiosna, tak no to już nic nie dawała żadnych tam do spania, do tego, tylkośmy przespali w tym swoim tam ubraniu. No i śniadanie potem zjedliśmy i wyruszyliśmy w drogę już do swoich tam, w swoje strony już. To już było niedaleko. No i myśmy, jak to się mówi, wylądowali w Ciemniewie, bo tam mamy siostra miała gospodarstwo i tam do nich, oni mieli cztery mieszkania, tak że jedno nam tam odstąpili. Tak razem do końca, no już nie do końca, bo potem przed samą... Co jakieś dwa lata, może przed wojną Niemiec, przed zakończeniem wojny z tych baraków Niemiec miał gospodarstwo nie takie duże, ale miał tam dwie krowy, konia. A jego wzięli już na żandarma, musiał iść, także się ratował, jak to mówiąc, przed wojskiem, ale że tam miał żonę i dwoje bliźniaków, małe dzieci i jedno starsze, no jakoś mu się tam do tego wojska udało, ale na żandarma już nie mógł się obronić, już go wzięli gdzieś tam z Różan, Przasnysz, tamte strony gdzieś. No i te gospodarstwo właśnie przekazał nam. A przed tym miał dwoje z tej wsi, z baraków tam i dziewczynę, i chłopaka do roboty. Ale im nie zostawił, bo to byli młodzi jeszcze, a wiedział od nich, bo tego sąsiada, którym miał Niemiec, który wysiedlił mojego mamy brata, z Ciemniewa, wujka Smolińskiego. I ten wujek Smoliński właśnie jemu podpowiedział, że tu siostra, są u Bandyków w Ciemniewie mieszkają, to oni chętnie tu przyjdą. No i on pewnej niedzieli właśnie, akurat ja byłem w domu, patrzę, żandarm wchodzi, no trochę się zraziłem, w niedzielę żandarm, ale on wszedł i mówił od razu, że: „Jestem sąsiadem Smolińskiego, z baraków, nazywam się Kop. A gdzie rodzice?”, mówię: „W kościele są” – „To powiedz im, niech przyjdą na baraki do Smolińskiego, bo mam dla was gospodarkę,

tylko żebyś nie zapomniał”, mówię: „Nie, nie zapomnę na pewno”, no i poszedł. Rodzice przyszli za jakąś tam godzinę czy więcej, bo nawet tam do siostrzenicy zawsze często, bo w Sochocinie mieszkała, tych Bandyków właśnie córka, no tam na herbatkę na to, no ale może za godzinę czy może więcej przyszli. No ja już się nie mogę doczekać, mówię, dlaczego nie przychodzą, bo już tam trzeba by iść, no ale kiedy przyszli, powiedziałem im. No to matula mówi: „Tośmy tak bardzo głodni nie jesteśmy, bo tam Karolcia nam tam herbatkę zrobiła”, no ale tam nie wiem, czy już jedli, czy nie jedli i matula mówi, to pójdziemy. No i czekał tam na nich właśnie ten Niemiec do tego Smolińskiego właśnie się zgłosili, to Smoliński już wiedział o tym, ten brat mamy, no to idziemy. No i on wprost te słowa mówi: „Wszystko zostaje, krowy, konie...”, świnie tam były, trzy czy cztery już nie wiem, „Wszystko będziecie, jak na swoim gospodarzcie. Czy chcecie?”. No matula mówi: „Jak najbardziej”, mówi: „Żadnych opłat, żadnych tam nic, nic a nic. Żonie drzewa tylko, żeby na zimę, żeby miała czym palić”, bo miał tam i olszynę, i brzezinę, żeby narznąć, żeby miała czym palić, żeby jej zawieść, a więcej, „ona nic nie będzie tu od was chciała”, bo przecież ona miała swoje kartki i tak dalej, zresztą to nie potrzebowała tego. No ale mimo woli, nieraz tam kartofli, worek, jak coś to się zawiozło, no to przyjęła, mówi: „To już nie będę chodzić po sklepach”, a więcej to nic tam nie chciała żadnej. No i tak żeśmy do końca tam doczekali tego wyzwolenia już. A co się działo z waszym gospodarstwem w tym czasie? A to w naszym gospodarstwie, tamtego pierwszego Niemca nie było, tylko zajął gdzieś sobie bliżej Płońska, w Sieclinie bodajże to nazwa była, tak, a tutaj przyszedł drugi, druga przyszła, to była wdowa i ona miała syna i ten syn właśnie zajął, gospodarzyli. No a po wojnie to już żeśmy objęli, to swoje, ale ruina, spalone było, działania wojenne tak potraktowały tę naszą wieś. Tylko dom co murowany był i pod dachówką tylko potłuczona trochę była, bo to od wschodu akurat ta strzelanina była. A budynki, stodoły dwie spaliły się, obora tylko została, bo to ściany były z gliny, te obory to zostały, a tak celagier wszystko spalone. No i dorabialiśmy się od nowa.

Dorota Grzechocińska: A czy ktoś jeszcze tam pracował na gospodarstwie waszym z rodziny, pan czy brat?

Stanisław Łoniewski: To pracowaliśmy właśnie do tego, co wywozili nas do tego Pomiechówka, do Działdowa, to w nocy przyszli i nas zabrali. Tak żeśmy tam długo nie pracowali. A potem to że wsi takich drugich brali sąsiadów tam. Chętnie nawet szli, bo do Prus wysyłali na roboty, jak ktoś tam tylko gdzieś więcej było w rodzinie, to normalnie do Prus na roboty wysyłali, do baorów tam, do tych gospodarzy niemieckich, bo oni byli na wojnie, a kobiety same to nie dawały rady, więc oni tu z Polski ludzi im tam dostarczali, koło Królewca tam gdzieś. To jest 1944 rok, zbliża się front i Niemcy się ewakuują, i zabierają ze sobą również pana? Tak, ale to już nie to ci nasi, tylko drudzy. Ci, którzy przyszli? Tak, no i ja i jeszcze drugi właśnie ten, co u nich tam pracował. Krebs się nazywał, tak? Tak, Krebs, to ona była wdowa, Krebs. No i miała córkę, tam z bajerem była żonata i ta córka z nią, a tego bajera to zabili, nie wiadomo kto. Tak możemy się domyślać, że on robił krzywdę innym, to się ktoś pewnie odwdzięczył już po wojnie, bo wrócił akurat, nie wiadomo po co, to się zastanawialiśmy, bo tam ich Ruski przejęli właśnie koło tego Drobina, a po co on tu na drugi czy trzeci dzień wrócili, to ja nie wiem. Bo i ta Niemka stara też wróciła, ta Krebsowa. No te saganki, mówi, tu jej zostały, tam to, a matula mówi: „Mnie tu więcej rzeczy zostało, ja pani tu nic nie dam, niech pani...”. No i zabrała się i poszła. A potem dowiadujemy się, że ten Niemiec, mówili, że się powiesił, ale to tak mówili, a czy ktoś mu pomógł, to tego nie wiemy, bo on robił krzywdę dużą ludziom, dużo robił ten Niemiec. I potrafił pobić, za byle co, jak to się mówi, no władzę miał jako Niemiec. Kogo bił? No parobków swoich, ze wsi nawet chłopaków. Nawet było tak, no

tych, co pracowali u niego, to nie, ale kiedyś tam zrobili potańcówkę taką. To tych, których tam tylko mógł, którzy zdążyli gdzieś tam się schować, uciec, to nie, a tak to też lał, poszedł na to, rozpędził tę muzykę tam całą. No i tak że taki był trochę, jak to się mówi, porywczy. A tych, co pracowali u nich, to nie, nie, to nie narzekali na niego.

Dorota Grzechocińska: I pan się ewakuował razem z... został wywieziony, tak? Razem z tymi Niemcami?

Stanisław Łoniewski: Tak, no i jak myśmy w tym, tutaj właśnie za tym Drobinem, to były Kuchary, wioska się nazywała. I tam na drugi dzień już... znaczy nocowaliśmy i oni się jeszcze, te Niemcy szykowali, żeby jechać dalej. A te gospodarze już tam trochę wiedzieli coś mieli, mówi: „Chłopaki, wy się ewakuujta, tam gdzieś na Kolonie, albo gdzieś się schowajta, nie idźcie z nimi, bo tu Ruskie już tylko, tylko są, blisko”, bo już tam wiedzieli, słysząc nawet było i strzały już tego. Tak my w pole, taka tam była, takie gospodarstwo, no może tam z 500 metrów od tej wioski, chociaż może też nie potrzebnie, ale dla pewności, to żeby tu blisko, żeby nas nie wołali jeszcze, żeby jechać, odjeżdżać, tośmy się tam ukryli właśnie na tej Kolonii. No i tam właśnie już nas Ruski w nocy, to była noc, zaczęli tam stukać, pukać, psy zaczęły szczekać, gospodarz wyszedł, a patrzy, że tu jakieś wojsko, po rusku: „[niezrozumiałe] Germańców niet”, mówi, to pierwsze to było, „Germańców niet”. A ten, to nawet gospodyni wyszła, mówi: „Nie, byli, ale już ich nie ma, uciekli wczoraj czy tam kiedyś”, no to wchodzi, weszli do domu, pewnie ich ze trzech, ale „Wodku majesz”, to była ich pierwsza ta intencja. No nie, no tam kobita mówi: „My nie, my nie mamy”, no tak, nie, no to nie, to tam, jak tam tego, no i wyszli. Niedługo tam gościli, wyszli. My to rano, jak już wstajemy, a to jak to się mówi, chmara tych „Ura!” i „Ura!”. To był pierwszy to zwiad tak zwany tylko, i oni tam chwilę z nami pobyli i poszli dalej. I słyszymy, się tak rozwidnia a to „Ura!” i „Ura!” od tego Drobinia, a tam już pełno, idzie pełno, no ale jak tamci weszli, no to chwilę tam się zatrzymali, no i też, najpierw „Wódki chcemy”. Wszystko to było naprawdę, ale dzięki temu to mieli odwagę i szli. No ale pobyli trochę i poszli dalej. No a myśmy dopiero wtedy już tak na... bodajże na drugi dzień, zara nie wracamy, bo to jeszcze wojsko i wojsko, i cały czas, to nas mogło poczytać za nie wiadomo kogo, bo przecież ani my nawet i dokumentów, ja nie miałem żadnego dokumentu, bo wtedy jeszcze byłem młody, jeszcze tego ausweisu nie miałem. To mówię... Tam nam odradzili, żeby zaraz... poczekać z dzień jeszcze, aż ta pierwsza, ta nawała przejdzie, ta armia, to już potem, no i tak było, jeszcze nas tam przenocowali jeden dzień. No a potem już tak cisza tego, spokój. No i do Płońska się dostali, trochę szliśmy na pieszo, trochę tam... Jechał nawet Rusek samochodem, już tam po coś wracał, znaczy podjechał kawatek i „Kuda!”, no to tu do Płońska, no to „Ja jadę, to siedlisza”, no to wsiedliśmy. I do Płońska nas przywiózł, to myśmy już wysiedli, a on tam coś z tego Płońska jeszcze miał tam, no coś tam zabrać, no jakoś go tam wojsko przysłało. A jeszcze w dalszym ciągu jeszcze armia szła. No i myśmy potem do tego Strachowa już doszli na piechotę.